

chciała. Wkrótce jednak obracać się zaczęła coraz powolniej, wahała się i stanęła w końcu. Gdzie?

Gdzieżby stanąć mogła, jeśli nie na kolorze czerwonym!

Zdało mi się przez moment, że wszystko, co mnie otacza, drga i chwieje się wraz ze mną. Płomienie świec migwały jak błyskawice, stół się poruszał, pierścionki mojej sąsiadki iskrzyły się i błyszczały, a naprzeciw mnie dyabelski palec Fortuny wskazywał ruinę moich nadziei.

Żeby nie runąć na dywan, chwyciłem za lamówkę zielonej materii wełnianej, stół przykrywającej, i bezsilny, prawie nieprzytomny oparłem się plecami o poręcz krzesła. W tejże chwili, z ust Tomasza, który stanął za mną, wyrwało się głucho wymówione przekleństwo. Bolesna prawda, jak z mora, przygniotła mi piersi. Czułem, że krew zbiegła mi z twarzy do serca i topiła w niem wszelką nadzieję. Zrujnowani! zrujnowani! Lica otaczających stół osób stały się nagle jakby popielate i niewyraźne; komnata i całe jej zbytłowne urządzenie cofało się w jakąś głąb oddaloną i rozplywało w mgłę szarą; ja zaś pozostałem sam w sali, sam ze skutkami mego szaleństwa. Tak mi się to przedstawiało w zmaczonej i do najwyższego stopnia podrażnionej wyobraźni.

Nie wiedząc nawet co czynię, zwróciłem wzrok na Tomasza i spostrzegłem, że oblicze jego było blade i ponure. W tejże samej chwili miły, muzykalny głos szepnął:

— Gra czeka. Czy tym razem postawisz pan cokolwiek?

Gestem odpowiedziałem, że nie.

— Co? Już się pan zniechęcił? Z taką jak pańska fizyonomia, słabe serce iść nie może w parze.

Popchnęła strzałkę znowu.

— Czy dlatego pan nie gra — szepnęła mi do ucha — że już nie masz czym grać?

— Tak.

— Ach, przecie chyba rozumiesz, że z pół suwerenem nie można rozbić banku! Lecz powiedz mi szczerze, czy już nie masz nic... nic a nic? Bo coś mi się zdaje, że szczęście moje dziśjsze przerwie się za moment.

— Nie mam nic... nic a nic! — odparłem.

— Biedny chłopiec!

Głos jej dźwięczał tkliwym uczuciem i szczerą życzliwością, w oczach jednak nikt nie dostrzegłby ani isierki litości.

Nie wiem, po co siedziałem jeszcze ciągle milczący i pogrążony w zamyśleniu. Ona szepnęła znowu:

— Mogę panu coś nie coś pożyczyc.

— Ja zaś nie mogę przyjąć pożyczki, bo nie jestem w stanie zwrócić długu. Straciłem wszystko, co miałem. Nie posiadam obecnie ani jednego penny.

— Biedny z pana chłopiec!

— Dziękuję za współczucie. Nie oczekiwałem politowania z jej strony.

— I nie miałeś słuszności. Żal mi pana... żałuję was wszystkich. Waryaci, waryaci! Uważam was wszystkich za szaleńców, chociaż byt mój i życie wam zawdzięczam. — Dodała po chwili, wprawiając w ruch strzałkę ruletową: — Więc już stanowczo grać nie możesz? Cóż zrobisz?

— Pójdę sobie zaraz.

— A potem?

Wzruszyłem ramionami i podnieść się chciałem z krzesła.

— Nie, nie odchodź jeszcze. Siadź przy mnie na moment i patrz. Los sprawił, że uchodzić muszę za pańską nieprzyjaciółkę. Co do mnie, wolałabym, żebyś odniósł zwycięstwo nademną.

Tak dziwnie wyglądała z tą swoją żółtą cerą, zmarszczkami i niezliczoną ilością brylantów, że bezwiednie, nie zdając sobie z tego sprawy, poddałem się jej woli, nie ruszyłem się z miejsca i patrzałem.

— Miałam sposobność widzieć wielu zrozpaczonych — ciągnęła dalej ta niezwykła kobieta — siedzących przy mnie, na tem samem co pan krzesle. Ach, ileż to ja młodych istnień zniszczyłam do szczytu! Jestem stara... dostrzedz to łatwo; bardzo stara, starsza, niż osądzić możesz, a pomimo to ciągle trzymam się nad młodością. Zdaje mi się niekiedy, że karmię się istnieniami ludzi młodych.

Zwierała mi się z cyniczną szczerością, nie zmie-

niając ani na chwilę obojętnego wyrazu twarzy. Ja zaś powstać nie mogłem i patrzyłem na nią, jakby ubezwładniony dziwnym jakimś czarem czy urokiem.

— Tak, tak! posiedzą nieraz czas jakiś, poczem odchodzą... Kto wie dokąd?... I ty odejdziesz za chwilę i stracę pana z oczu raz na zawsze, nie myśląc nawet i nie troszcząc się, co cię spotkać może. Złoto, to moja krew! Barwę jego noszę na twarzy! Przychodzą tu wszyscy, a ja wysysam z nich krew i wyssanych wyrzucam za drzwi. Czasem wygrywają, lecz ja mogę i umiem czekać. Mam środki potemu. Czekam więc, czekam... a oni wracają, bo powrót narzuca im przeznaczenie. Wracają, a ja ich wtedy ogrywam. Bo w końcu zawsze wygrać muszę... i wygrywam zawsze!

W ciągu kilku sekund całą swą uwagę zwróciła na grę, poczem mówiła dalej:

— Rzadki to plyn, ta moja krew żółta, tem cenniejszy, bo dostarczony przez młodzieńców. Wyssałam z ciebie zaledwie kropelkę, a jednak cię kocham. Nie wierzyłeś w moją litość, chociaż serce moje zawsze jest pełne litości, gdy tu siedzisz i piję krew.



— Wejdźcie panowie i zbliźcie się, bardzo proszę.

Pański przyjaciel bardzo przyjemny chłopiec, ja przebież pana wolę. Widzę, że chcesz odejść. Rozstania podobne bywają okrutne, nieprawdaż?

W brzmieniu jej głosu nie było tonu naigrania, a oczy nie zmieniły wyrazu. Zamiast odpowiedzieć, zwróciłem na nią wzrok pytający, ona zaś, jakby zrzuciając myśl moją, odparła:

— Nie, nie! nie żartuję z pana. Chciałabym istotnie żebyś wygrał, choćby raz tylko. Powtarzając to życzenie, zapewniam, że jestem zupełnie szczerą. W końcu zwyciężyłabym, bo ja muszę zwyciężyć, lecz cieszyłabym się, gdyby los ci sprzyjał czas pewien. Czy przyjaciel pański ma pieniądze?

— Nie. To, co stawiałem, należało do nas obu. Nie mieliśmy nic więcej.

— Powrócił tu i grać panu kazał. Zabawna przyjaźń!

— Myli się pani — odpowiedziałem — on przyjsć nie chciał. Ja go przekonałem... a raczej skłoniłem do tego mojem naleganiem. Ja jeden zawiniłem tym razem.

— A więc — rzekła cichym, słodkim, niemal mdłym głosem — przypuszczam, że już odejdziesz. Szkoda! Jesteś zbyt ładnym chłopcem, abyś miał uczynić... to, co uczynisz. Lecz ruleta nie zna wzglę-

dów dla piękności, inaczej bowiem ja nie wygrywałabym nigdy. Zegnaj pana.

W oczach jej o niezgłębionym wyrazie, nie było cienia politowania. Wpatrywałem się w nie przez chwilę. Blask ich nie wyrażał nic więcej, prócz niewzruszonego i niezmaczonego spokoju.

— Zegnaj panią — rzekłem.

Powstałem, żeby odejść, bo ręka Tomasza spoczęła na moim ramieniu. Dawał mi do zrozumienia, że już wielki czas opuścić to piekło. Nie śmiałem spojrzeć na niego.

Wszelka nadzieja, choćby najmarniejszego sukcesu, rozwinęła się obecnie pod mroźnym tchnieniem niesprzyjającego losu.

Nagle... zupełnie bezwiednie, zanurzyłem rękę w kieszeni i wyciągnąłem z niej klamrę złotą.

W mojem przekonaniu nie posiadała ona już dla mnie żadnej wartości, bo nie mogła mi wskazać miejsca, w którym ukryty był Wielki rubin z Ceylonu. Posiadała jednak prawdopodobnie, jako metal, jakąś cenę rzeczową. Nosilem ją ciągle przy sobie od dnia, w którym razem z wujem Loveday czyta-

liśmy dziennik mego ojca. Jakież dziś mogłaby mieć znaczenie? Zamierzałem za parę godzin wyrzucić się raz na zawsze wszelkich nadziei, a więc i nadziei zdobycia skarbu. Czyż po stracie ostatniego wspólnego fundusiku, nie miałem poniekąd prawa zmarnować i klamrę? Wszakże — jak sądziłem — mogła mieć dla mnie jeszcze tylko o tyle pewną wartość, o ile zdołałbym zamienić ją na pieniądze. W każdym razie postanowiłem spróbować.

Siadłem więc znowu na krzesło, stojąc obok krzesła pani domu. Ona zwróciła na mnie oczy, jakby od niechcienia, i zapytała:

— Ba! Już pan z powrotem? Tak prędko?

— Tak — odpowiedziałem zmieszany nieco chłodem jej pytania — jeśli pani udzieli mi raz jeszcze możliwości próbowania szczęścia...

— Nie daję nic nigdy, tem mniej szczęścia, niezależnego od mojej woli!

— Dobrze. Lecz chciej mi powiedzieć, czy to ma jaką wartość?

Wymawiając słowa powyższe, wy dobyłem klamrę, która pod jarzącym światłem pajaka zajaśniała w całym blasku.

Ona wpła w nią wzrok i po raz pierwszy zdało mi się, że dostrzegłem w jej oczach niezwykle żywe zajęcie. Zajęcie to jednak mignęło jak błyskawica i znikło w jednej chwili.

— Pozwól mi pan przyjrzeć się przedmiotowi.

Podąłem jej klamrę.

Pochyliła się nad nią, poczem zwróciła twarz ku mnie i spytała:

— Czy to wszystko? Zdaje mi się, że posiadasz pan tylko połowę klejnociku. Czy nie masz drugiej połowy?

Poruszeniem głowy odparłem, że nie. Ona wtedy ciągnęła dalej:

— Rzecz wykonana kunsztownie. Przypuszczam, że musi mieć jakąś wartość. Czy chcesz, abym ją nabyła?

— Niekoniecznie, lecz jeśli pani znajduje, że posiada pewną wartość, to chciałabym ją zastawić za cenę odpowiednią.

— Bardzo dobrze. Wartość jej wynosi trzy funty sterlingi... może nawet nieco więcej. Jeśli zechcesz, przyjmę ją w tej cenie, jako stawkę na rulecie. Czy masz zamiar grać zaraz?

— Tak. Chciej mi pani pozwolić grać zaraz — odparłem i postawiłem klamrę na kratce czerwonej, opatrzonej numerem trzynastym.

Kiwnęła głową na znak zgody i pochyliwszy się nad stołem, wprawiła strzałkę w ruch obrotowy.

Tym razem, zupełnie zimny i spokojny, odzyskałem nad sobą bezwzględna władzę. Opuściło mnie poprzednie upojenie, a czułem, że nerwy moje stały się podobne do hartowanej stali.

Nie patrzałem wcale na kręcącą się strzałkę i nie t oszczać się o nic, przyglądałem się twarzom gości, grających ze mną równocześnie. Stawka obecna rozstrzygnąć miała: mam li żyć, czy umrzeć, lecz nie myślałem o tem.

(Dalszy ciąg nastąpi).